

Autobus

Nie pamiętam nic z tego wszystkiego, co działo się, zanim wsiadłem do autobusu. Potem wydało mi się to dziwne - musiałem przecież gdzieś być, o czymś myśleć, czegoś chcieć, a czegoś nie chcieć. Jednak ile razy się nad tym zastanawiałem, tyle razy docierałem do tego samego punktu, gdzie za jedyny pewnik brać mogłem własną niewiedzę. Mój świat zamykał się w krótkim odcinku.

Trwała wiosna - mogłem to zaobserwować, przytulając czoło do zimnej tafli okna zamkniętego w rozedrganych ramach. Z dziecięcą fascynacją chłonałem wzrokiem cały jazgotliwy bezład nasłonecznionej złotem ulicy. Wrzeszczące samochody mijaly nas, machając na pożegnanie atramentowymi ogonami spalin, a lepkie wydmy czerniejącego śniegu brodziły w ziejących między płytami chodnikowymi lustrach kałuż. Czyste, nieruchome niebo zawisło błękitnie wysoko nad miastem, wzbogacając duszący pejzaż odrobiną orzeźwiającego koloru.

Znudzony przewidywalną codziennością, zwróciłem spojrzenie ku moim współpasażerom. Miejsce najbliżej wejścia zajął pochylony nad książką mężczyzna w średnim wieku i okrągłych okularach. Jego oprawione w grafitowe tęczówki źrenice mknęły po literowych szynach, perfekcyjnie skoordynowane z urękawiczoną dłonią, pracowicie przerzucającą szeleszczące arkusze. Dwa rzędy dalej, po przeciwnych stronach przejścia przez szyby wyglądali kolejni towarzysze podróży. Pierwszy z nich, o czerwonej, naznaczonej koślawymi zmarszczkami twarzy, gestem skrajnej rezygnacji oparł czaszkę o tył siedzenia i wlepił puste, obrysowane szkarłatem oczy w nagie ramiona parkowych drzew. Pomiędzy sterczącymi z rękawa wysłużonej już kurtki palcami kołysała się do połowy opróżniona butelka alkoholu. Drugi, najprawdopodobniej student, smętnie zapatrzył się w bliżej nieokreśloną dal, samotny w swoich rozmyślaniach i po swojej stronie pojazdu. W odosobnionym tyle, odgraniczony od wszystkiego i wszystkich, muzyki słuchał trzydziestoparolatek obdarzony tajgą postrzępionych włosów i niezbyt równo przyciętą brodą. Szczelnie domknięte powieki cementowały bliski stanu namacalności mur, niemożliwy do przebycia i otaczający mężczyznę z każdej strony świata. Przyciśnięta do jego wyblakłego płaszcza, machała nogami owinięta w kolorową kurtkę dziewczynka. Rączki dziecka obejmowały telefon komórkowy, twarz wyrażała szczerą ekscytację tym, co rozgrywało się za błyszczącym ekranem.

Teraz patrzyłem w lewo, na siedzenia przeznaczone dla czteroosobowej grupy, dwa zajęte, a dwa opustoszałe. Oparty o rozkołysaną ścianę, na jednym drzemał starszy pan, ubrany wielobarwnie i trochę dziwnie - tak, jakby bardzo chciał zostać dostrzeżony. Miejsce obok, to przy samym przejściu zajęła kobieta, która jednak nie poświęciła sąsiadowi najnieatrważniejszej uwagi. Oczy o bardzo przeciętnym kolorze wbiła w ekran rozłożonego na kolanach komputera, pomalowane przezroczystym lakierem paznokcie z oszalałymi szybkością uderzały w klawisze grzechoczącej klawiatury. Wszystko w niej było zupełnie normalne - tak bardzo, że gdyby nie ten komputer, chyba nawet bym jej nie zauważył.

Z przodu pojazdu, właściwie tuż obok stanowiska kierowcy, na krześle kuliła się staruszka z kundlem w ramionach. Jej czułe, pomarszczone dłonie zdawały się emanować ciepłem, gdy z miłością głaskały zwierzęcą sierść, usta szeptały do psa niesłyszalne dla mnie słowa. Chociaż widziałem tylko jej wycinek, twarz sprawiała wrażenie promiennej i beztrudnej, odpowiadającej uśmiechem na każdy element świata. Z miejsca, w którym się znajdowałem, moje spojrzenie nie sięgało kierowcy.

Ostatnim pasażerem był umięśniony mężczyzna w sportowym ubraniu, mimo wielu wolnych siedzeń stojący w samym środku niewielkiej przestrzeni między drzwiami i rzędem zakurzonych okien. Na chwilę podniosłem na niego wzrok, ale od razu tego pożałowałem - popatrzył na mnie z oczywistą pogardą i bezkresnym potępieniem. Obok niego czułem się, jakbym był kimś gorszym.

Autobus opuścił już centrum miasta i teraz, przez nic nie hamowany i pozbawiony ograniczeń narzucanych przez samochody, swobodnie opływał peryferyjne dzielnice, zielone, zharmonizowane i zalane falami dźwięków. Grube szyby, choć tłumiące nacierające zewsząd ujadanie psów, warkot kosiarek do trawy i stanowiący tło dla tej kakofonii śpiew ptaków, niestety nie gwarantowały ochrony przed nasilającym się upałem. Poczułem, jak po twarzy spływa mi strużka gęstego potu. Starłem ją rękawem, dochodząc do wniosku, że chyba jednak nieodpowiednio się ubrałem. Zerknąłem na zewnątrz. Zdziwiająco, jak szybko stopniał śnieg.

I wtedy autobus skręcił. Zrobił to prędko i zdecydowanie, prawie nie zwalniając, a ja, nieprzygotowany na ten zwrot, na moment straciłem równowagę i boleśnie obitem łokieć o drążek, który, paradoksalnie, powinien pozwolić mi tego uniknąć. Wspiąłem się z powrotem do szyby i posłałem ostatnie spojrzenie powoli znikającej w gąszczu budynków głównej drodze.

Odwróciłem się do moich współpasażerów, chcąc ocenić, czy też zauważyli tę nagłą zmianę trasy. Zauważyli. Mężczyzna w okularach podniósł wzrok znad książki. Zmarszczył

czoło, zdziwiony rozglądając się wokół, tak jakby nie do końca wierzył w to, co się dzieje. Za nim student wyprostował się na swoim miejscu, przybierając bardziej gniewny niż zaskoczony wyraz twarzy. Kobieta z komputerem przerwała wystukiwanie kolejnych znaków i oszołomiona przenosiła oskarżycielskie spojrzenie z jednego towarzysza podróży na drugiego, najwyraźniej w poszukiwaniu osoby odpowiedzialnej za to odstępstwo od ustalonego planu.

Cisza zasnęła wewnątrz pojazdu. Po kilku spowitych milczeniem sekundach mężczyzna w okularach odezwał się z widocznym wahaniem:

- Przepraszam... Czy to autobus numer -∞?

Kilka głów przytaknęło, z początku niepewnie, potem, pod wpływem ruchu pozostałych, odważniej. Okularnik wydał z siebie niejasne "mmhm..." i oparłszy podbródek na dłoń, wpatrzył się w podłogę.

Na chwilę wytrącony z równowagi, teraz chybotliwie ruszyłem ku stanowisku kierowcy. Nie miałem pojęcia, co się dzieje, ale nie podobało mi się to. Byłem zmęczony i naprawdę chciałem znaleźć się z powrotem na bezpiecznej, dobrze znanej mi (i pozostałym pasażerom najwidoczniej też) trasie.

- A pan dokąd?

Obróciłem się. Głos należał do umięśnionego mężczyzny, tego, którego sam wzrok wcześniej tak mnie onieśmielił. Stojąc wciąż w tym samym miejscu, rzucił mi spojrzenie zdominowane przez politowanie, nie pozbawione jednak szczypty wyraźnego rozbawienia mną i moimi działaniami, które, biorąc pod uwagę okoliczności, były chyba przecież całkiem sensowne.

- Do kierowcy - odparłem najbardziej pewnym siebie tonem, na jaki było mnie stać.

- Niech mnie pan nie rozśmiesza - parsknął czymś w rodzaju śmiechu. Nawet ten śmiech brzmiał wyniośle - kierowca nie zrobi nic. Może pan do niego krzyknąć, a sam się pan przekona.

Zerknąłem za siebie. Kierowca w dalszym ciągu pozostawał poza zasięgiem moich oczu. Przygryzłem wargę. Rozdarty, patrzyłem to na przód, to na środek pojazdu, niezdolny do podjęcia żadnej konkretnej decyzji.

- Powiem panu, co należy zrobić - mój rozmówca przerwał krępującą ciszę. Postąpił kilka kroków w przód i przemówił głosem donośnym, wzniosłym, promieniującym potęgą - o kierowcy trzeba zapomnieć. On tylko odwraca uwagę od skutecznych sposobów działania. Kto zniża się do rozmowy z nim, ten okazuje słabość. Zatrzymamy ten autobus naszą własną, fizyczną siłą! - przerwał, a ostatnie słowa zawirowały w powietrzu, wolne od odwiecznych

zasad grawitacji. Przypominał teraz wzbity w niebo, górujący nad światem pomnik - symbol wielkości i wszechmocy. Potoczył wzrokiem po pasażerach i szeptem, który dotarł do najodleglejszych zakamarków autobusu, dokończył - kierowca nam nie pomoże. Kierowca umarł.

- Zgadzam się z panem!

Kolejne głowy, jak elementy domina, spośród których pierwszy, trącony, wciąga do ruchu pozostałe, skierowały się ku tylnym siedzeniom. Ze swojego miejsca powstał student, z którego twarzy, teraz dumnie podniesionej, spłynęły kałuże cienia, obnażając lodowato zimne tęczęwki i twardo zaciśnięte wargi. Wcześniej otaczająca go aura smutku przepadła gdzieś, ustępując miejsca prawie materialnej złości.

- Zgadzam się - powtórzył, zeskakując z podwyższenia i zdecydowanym krokiem ruszając ku centrum pojazdu - że o kierowcy należy zapomnieć. Nie mogę jednak zgodzić się z panem całkowicie. Kierowca nie umarł. Jego nigdy z nami nie było.

Następna fala ciszy zatopiła autobus. Platforma zadygotała pod moimi stopami, gdy opony natrafiły na rozpadlinę. Patrzyłem, jak plamy sprowadzonego do płynnej postaci słońca trzęsą się niekontrolowanie do momentu gdy asfalt na powrót stał się równy.

- Sugeruje pan - ostrożnie włączyłem się do dyskusji - że kierowca nie istnieje? - podniosłem na niego wzrok - przecież to absurd. Kto w takim razie kieruje autobusem?

- Ja wcale nie wykluczam absurdu - odpowiedział, po czym nie pozostawiając mi ani chwili na przemyślenie tych słów, dodał - wręcz przeciwnie - uważam, że cała ta podróż to absurd w swojej najbardziej absurdalnej postaci. Cokolwiek zrobimy, każdy z nas zakończy ją nie tam, gdzie chce i nie będzie w stanie stamtąd wrócić.

Urwał, westchnął i poszybował spojrzeniem gdzieś daleko. Jego rysy na chwilę złagodniały - twarz utraciła upodabniającą ją do maski sztywność. Lód skuwający oczy stopniał, a gniewnie ściągnięte brwi powróciły do kształtu delikatnych łuków. Przez sekundę, może dwie wyglądał tak samo jak wtedy, gdy zasępiony wyglądał przez brudne okno. Smutno.

- Coś panu opowiem - odezwał się nagle, najwyraźniej przypomniawszy sobie o podjętym wątku, który zagubił się gdzieś w gęstwinie tematów i myśli - ja też wierzyłem w kierowcę... kiedyś. Jeździłem tym autobusem każdego dnia i wydawało mi się, że żadne niebezpieczeństwo nie ma tu do mnie dostępu. Właściwie... Było tak jeszcze wczoraj - pokiwał głową sam do siebie, jak gdyby ten gest mógł potwierdzić autentyczność jego wspomnień - wczoraj jak zwykle wracałem do domu i widziałem, jak w tym autobusie, którym my teraz jedziemy, pobito człowieka - przełknął ślinę i kontynuował głosem

niespodziewanie jadowitym, przeszywającym powietrze niczym świszcząca, świeżo naostrzona szabla - człowiek został pobity, a kierowca nie zrobił nic! Nie zatrzymał pojazdu, nie sprzeciwił się słowem, nawet nie ściszył radia! Nie zareagował na zło - dokończył niemal szeptem, który natychmiast zatonął w jednostajnym warkocie silnika. Oczy studenta, teraz powtórnie ziejące chłodem, zderzyły się z moimi - a jeśli ktoś nie reaguje na zło, to nie istnieje.

- Skończył pan już?

Wzrok chłopaka ześlizgnął się z mojej twarzy i powędrował za mnie, aż do siedzenia zajmowanego przez kobietę z komputerem rozłożonym na kolanach.

- Słucham?

- Jeśli skończył pan tę swoją łązawą historyjkę to byłoby miło, gdyby zajął się pan czymś konkretnym - rzekła monotonnym, pozbawionym emocji tonem, ze spojrzeniem utkwionym w ekranie laptopa.

- To znaczy?

- To znaczy czymś, co umożliwiłoby nam sprowadzenie tego autobusu na drogę zgodną z rozkładem jazdy.

- Chyba pani żartuje! - student rozejrzał się, jakby w nadziei, że nikt inny nie przystał na tę idiotyczną propozycję - przecież to nie ma prawa się udać.

- Ależ ma - pasażerka, zupełnie niezrażona, wsunęła dłoń pod klawiaturę, po czym ustawiła komputer w taki sposób, by każdy mógł zobaczyć, co przedstawia wyświetlony na nim dokument - opracowałam plan, zgodnie z którym...

- Plan! - jej rozmówca wykrzyknął, wznosząc ramiona do sufitu - a co nam teraz da jakiś plan? Chce pani zatrzymać jeden pojazd, ale nawet nie pomyślała pani o tym, że w tym samym czasie tysiąc innych pojazdów zmieni własne trasy i pojedzie nie tam, gdzie trzeba! I tak będzie już zawsze...

Zamilknął i zwiesił głowę, dając wyraz rozżaleniu wywołanemu przez tę ponurą wizję.

- Jeśli naprawdę chce pani coś zrobić - przemówił po chwili - niech się pani zbuntuje. Niech pani wstanie i oznajmi światu, że pani się na to nie zgadza. Oczywiście trzeba się liczyć z konse...

- W życiu nie słyzałem większych bzdur!

Chłopak skierował spojrzenie ku niebu, teraz zakrytemu przez dach i wydał z siebie teatralne westchnienie.

- Odnoszę wrażenie - zwrócił się do umięśnionego mężczyzny - że posiada pan własne, odmienne od moich poglądy, którymi bardzo chce się pan podzielić ze mną i z pozostałymi towarzyszami podróży - splótł ręce na piersi - słuchamy.

Adresat wypowiedzi bez wahania zaczął głosem tubalnym, zdającym się wprawiać w drżenie zarówno podłogę, jak i drążek uwieczony wewnątrz mojej dłoni:

- Powiem to wprost. Wszystko, co pan właśnie zaprezentował, to szczyt głupoty, którego istnienia nie podejrzewałem. Nawołuje pan do buntu, jednocześnie przyznając jego bezcelowość. Wyklu...

- Ooo nie, chyba źle mnie pan zrozumiał. Miałem na myśli...

- Nie obchodzi mnie, co pan miał na myśli! Jeśli jest pan zbyt słaby, aby zatrzy...

Zrezygnowany i wyzbyty najnędnějších złudzeń, pozwoliłem kolanom ugiąć się pode mną. Usiadłem pod oknem, ignorując brud warstwami oblegający podłogę i ścianę, o którą oparłem głowę. Moje ubranie i tak było już lepkie od potu. Przysłoniłem palcami czoło i policzki, chcąc choć na chwilę odciąć je od morderczego żaru palącego słońca. Czułem, że nie zniosę ani minuty dłużej w tym parnym, dusznym wnętrzu.

Niespodziewanie z gwaru krzyków i wzajemnych oskarżeń wyłonił się jeden wrzask, niczym grzmot odsuwający na drugi plan pojedynkę zawodzącego wiatru z huczącą ulewą.

- Cisza!!!

W samym środku przejścia kołysał się staruszek, najwidoczniej najpierw obudzony przez zgiełk kłótni, a potem rzucony w jej chaotyczny wir. Dyskutanci kolejno wyłączali się ze słownego starcia, raczej oszołomieni nagłym pojawieniem się współpasażera oraz jego ekscentrycznym wyglądem, niż powodowani potrzebą okazania szacunku komukolwiek.

- Nazywam się...

- Nikogo nie interesuje, jak się pan nazywa - ucięła brutalnie kobieta - interesuje mnie, co jest pan w stanie zrobić, by pomóc nam poradzić sobie z sytuacją, w jakiej się znaleźliśmy.

- Co ja jestem w stanie zrobić...? - wyraz przez moment naznaczającego twarz mężczyzny strapienia w sekundę ustąpił miejsca entuzjastycznemu oświeceniu - ja... ja mogę zrobić wszystko! - ogłosił uroczyście. Po chwili milczenia dodał, zakłopotany - a co to za sytuacja?

- Nie wiem, czy pan zauważył - cierpliwie tłumaczyła rozmówczyni - ale ten autobus już od jakiegoś czasu jedzie trasą niezgodną z oficjalnym harmonogramem. Zasugerowałam podjęcie wspólnych działań, które umożliwiłyby...

- Moje dziecko - staruszek, uznawszy, że usłyszał wystarczająco dużo, nie pozwolił jej dokończyć - tutaj nie potrzeba pracy grupowej. Tutaj potrzebny jest bohater! - wyprostował się, z dumą obejmując wzrokiem całe pomieszczenie tak, jakby już cieszył się chwałą triumfu, który przecież jeszcze nie nastąpił - i tym bohaterem jestem ja! Poświęcę się dla was wszystkich! Rzucę się pod ten autobus i zatrzymam go, by poprzez własne cierpienie ofiarować wam wolność!

- A jak chcesz pan to niby zrobić? - mruknął sportowiec - drzwi są zablokowane.

- Nie wiem jak! - wykrzyknął, wciąż w ekstatycznym uniesieniu - ale najważniejsza jest idea.

Właścicielka komputera niespokojnie poruszyła się na krześle. Zdawszy sobie sprawę, że nikt nie powie tego, na wybrzmieniu czego tak bardzo jej zależało, postanowiła sama podjąć wątek.

- Idee to już przeszłość - rzekła cicho, lecz dobitnie, ruchem dłoni powstrzymując protesty swojego poprzednika - przyjrzyjcie się temu autobusowi. Jedzie, bo każda jego część, każdy najmniejszy element pracuje tak, jak należy. Wszystko, począwszy od kół, a kończąc na kierownicy, spełnia swoje zadanie. Jeśli chcemy go zatrzymać, musimy działać tak samo - jak jedna, sprawnie funkcjonująca maszyna. Uda nam się, gdy każdy otrzyma zadanie i poprawnie je wykona.

- Nie może pani zmusić nikogo do działania - zaproponował student - każdy ma prawo samodzielnie zdecydować, jaka będzie jego reakcja.

- Tak pan sądzi? To proszę się rozejrzeć - wycodziła przez zaciśnięte zęby - od początku każdy decydował sam. I co nam to dało? Absolutnie nic. Może już czas przestać myśleć egoistycznie i wziąć pod uwagę dobro wspólne?

Żaden z pasażerów nie znalazł odpowiedzi na te słowa, żaden jednak nie sprawiał wrażenia urzeczony proponowanym rozwiązaniem. Towarzysze podróży wrogo mierzyli wzrokiem to obklejone wielokolorowymi plakatami ściany, to siebie nawzajem i nie wiadomo, czy ktokolwiek przełamałby niewidzialną barierę absolutnego braku odgłosów, gdyby nie szorstki, gardłowy rechot, który dobiegł nagle z odległego tyłu.

Umięśniony mężczyzna przybrał gniewny wyraz twarzy i energicznym krokiem ruszył w kierunku siedzenia, na którym, na wpół siedząc, na wpół leżąc, trząsł się alkoholik o pomarszczonych policzkach i odpychająco żółtym uzębieniu.

- Śmiesz cię coś? - warknął, zaciskając pięści. Powietrze momentalnie jakby zgęstniało, a cisza, wcześniej niewygodna, teraz stała się niemal dławiąca. Co ciekawe,

adresat przesyconego agresją pytania jako jedyny zdawał się nie zarejestrować złowrogiego podtekstu.

- Śmieszysz mnie - wymamrotał głosem zmiętoszonym i świszczącym, mimo to wciąż nie pozbawionym nuty wesołości - że wam wszyszysztym wydaje sieeę, żżże jak już coś zrobicie, to będzie śśśświetnie - przerwał, by pociągnąć łyk napoju falującego nad okrągłym dnem butelki.

- Może pan wyrażać się jaśniej? - zażądała kobieta.

Pasażer zaniósł się chrapliwym śmiechem. Sportowiec, czerwony z ostatkiem sił hamowanej złości, przysunął się jeszcze bliżej siedzącego, wtedy jednak on przemówił.

- Wszyszysstko, co robicie - zaczął niewyraźnie - nnie ma najjjmniejszego sensu. Nie odpowiada wam, gzzzie ten autobuss jedzdzie, ale przecieżżż gdzzzziekolwiek nie pojedzcie, zawszysze cośśś będzcie dla wasss nie tak - zamilkł, a po upływie kilku sekund, zachęcony brakiem odezwy, kontynuował - gdy tylko wyssiądzziemy, wydarzrzą sieeę kolejne nieszyszczęścia. I tak www ogóllee to ta csssaa zmmiana trasy była do przrzrzewidzzenia. Byłoby dzziwne gdyby ten auttobuss pojjechhał normallnie - podsumował.

Na chwilę zastygł w bezruchu, różowymi, zażawionymi oczami lustrując przestrzeń za oknem. Wreszcie odwrócił je z powrotem w stronę butelki i wydał z siebie coś, co początkowo wydawało się być kaszlem, wszak szybko przerodziło się w kolejny atak charczącego chichotu.

Dla umięśnionego mężczyzny tego było już za wiele. Jednym susem znalazł się tuż przy swojej ofierze i szarpiąc pijaka za kurtkę, strącił z jego kolan butelkę z brązowego szkła. Przedmiot z brzękiem upadł na podłogę i potoczył się po niej, gdy pojazd zakołysał się na zakręcie. Resztką przezroczystej cieczy rozlała się po platformie cuchnącą kałużą.

- Wystarczy! Niech pan przestanie! - krzyknął ktoś niezbyt donośnie. Obróciłem się w tamtą stronę i ujrzałem staruszkę, która, podniósłszy się ze swojego miejsca, teraz mozolnie przebijała się przez kilkusobowy tłum. Pół kroku za nią dreptał niepewnie czarny kundelek.

- Co pan wyprawia?! - zawołała karcąco - jeszcze zrobi mu pan krzywdę.

- Nie miałbym nic przeciwko temu - odburknął tamten, jednak puścił alkoholika, który z sapnięciem osunął się na krzesło, z niego zaś zjechał na podłogę.

- Jak pan może tak mówić? - pasażerka schyliła się i pomogła pokrzywdzonemu wstać - przecież to nie leży w pana naturze.

- Chcesz pani wiedzieć, co leży w mojej naturze? - wyprostował się i spojrzał na rozmówczynię z góry, co wcale nie było takie trudne, biorąc pod uwagę jej niski wzrost -

wskazanie tym bałwanom jedynej słusznej drogi! Rozwiązanie problemu, na którego rozwiązanie oni są za słabi. A może chcesz pani zobaczyć, jak rozprawiam się z kierowcą?

- Jak pan może w ogóle o tym myśleć? - ze smutkiem pokręciła głową - przecież to taki sam człowiek jak pan.

- Ooo nie, co do tego nie mogę się zgodzić. Takich ludzi jak ja nie ma! A w każdym razie nie ma ich wiele.

Kobieta westchnęła. Wzięła w ramiona pieska, który zataczał niezgrabne pętle wokół jej nóg, radośnie merdając pokracznym ogonkiem i z czułością pogładziła sterczące na wszystkie strony futro. Na jej ustach na powrót zagościł promienny uśmiech.

- Ja ufam kierowcy - oznajmiła. Sportowiec przewrócił oczami, a student popatrzył na nią dziwnie, marszcząc brwi.

Autobus zaskrzypiał, a z daleka odpowiedziało mu zawroźnienie wiatru. O szybę obok mnie uderzył brązowy liść, smagnął szkło wysuszonymi palcami i odleciał, by nigdy więcej nie powrócić. Rozległo się głucho stuknięcie, potem następne, a po chwili w ściany pojazdu waliły miliony kropel ciężkiej, zimnej wody. Wstałem, by zamknąć uchylone okno i potarłem ramiona dłońmi, chcąc przegnać wywołane chłodem dreszcze.

- O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny... - zaintonował niemal niezrozumiale alkoholik, przyciskając policzek do błyszczącego szkła.

- A może to jest sen?

Drgnąłem, gdy łagodny głos dotarł do moich uszu. Z siedzenia przy głównych drzwiach patrzył na mnie mężczyzna w okularach. Jego sylwetka, częściowo roztopiona w panującym półmroku, majaczyła na skraju mojego pola widzenia. Stwierdziłem, że jeszcze kilka minut i zrobi się naprawdę ciemno - słońce, ukryte pod popielatą kotarą nieprzeniknionych chmur, z całą pewnością zachodziło.

- Co ma pan na myśli?

- To, że tak naprawdę to nie możemy być pewni niczego, nie sądzi pan?

Nie mogłem się z nim nie zgodzić. Powoli pokiwałem głową.

- Czy to na pewno niewłaściwa trasa? Czy to na pewno właściwy autobus? Czy to na pewno jest autobus? A może siedzimy wszyscy w samolocie? - zadawał kolejne pytania, każde bardziej cudaczne od poprzedniego.

- W samolocie? Co pan wygaduje?! Wiem, jak wygląda samolot! - oburzył się student.

- Mój drogi - rzekł okularnik - wiesz, bo uwierzyłeś komuś na słowo. Tymczasem proces prawdziwego poznania powinien odbywać się tutaj - przytknął palec do czoła - a podstawą rozważań jest wątplenie.

Próbowałem zastanowić się nad tymi słowami, w żaden jednak sposób nie mogłem uciec stopniowo ogarniającemu mnie zmęczeniu, osiagającemu właśnie punkt kulminacyjny. Powieki ciążyły mi, czaszka chyliła się ku podłodze, a stopy, wyczerpane podtrzymywaniem całego ciała, krzyczały z bólu od... w zasadzie to od kiedy? I jak dawno temu wsiadłem? Rozejrzałem się, zbity z tropu. Podróż mogła trwać sekundy, mogła jednak równie dobrze ciągnąć się od paru godzin. Przywołując wspomnienia z jej początku, odnosiłem nieodparte wrażenie, że minęły minuty, chwile krótkie jak lądowanie jesiennego liścia na oszronionej trawie. Dlaczego w takim razie byłem tak wykończony? Na mój policzek natrafiło coś zimnego. Starłem to i ze zdumieniem stwierdziłem, że to płatek śniegu - tego pierwszego, tak delikatnego i kruchego, rozplywającego się pod najśłabszym oddechem. Podniosłem wzrok i ujrzałem okno - otwarte. A przecież zaledwie minutę temu je zamykałem.

Niespodziewanie rękaw mojego płaszcza pociągnął mnie w dół. Popatrzyłem tam i doszedłem do wniosku, że to wcale nie mój płaszcz ożył - szarpnęła za niego mała dziewczynka ubrana w kurtkę. Przypomniałem sobie, że ta kurtka była w kolorowe paski - lecz na granicy dnia i nocy barw prawie nie dało się odróżnić - jedne były szare, inne ciemnoszare, a jeszcze inne jasnoszare.

- Mój tata prosi, żeby powiedział pan reszcie, żeby przestali krzyczeć - przekazała. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że moi towarzysze rzeczywiście krzyczą - w samym centrum pojazdu rozszalał się huragan, z którego huku udało mi się wyłowić tylko pojedyncze, wyrwane z kontekstu urywki wypowiedzi. Z drugiej strony natomiast siedział pasażer, o którym wszyscy zdawali się zapomnieć - mężczyzna ze słuchawkami w uszach i nierówno przyciętą brodą. Ruszyłem w jego kierunku.

Siedział bez ruchu, niczym posąg wyrzeźbiony ze srogiego, niewzruszonego marmuru. Z nogami opartymi na podłodze i dłońmi złożonymi na kolanach wyglądał tak, jakby spał. Niepewnie wyciągnąłem rękę i potrząsnąłem jego ramieniem. Natychmiast otworzył oczy. Spojrzał na mnie, potem za mnie, a następnie znów na mnie, po czym wydał z siebie przeciągłe, pełne rezygnacji westchnienie.

- A więc nie udało się panu. Szkoda. Oni wszyscy naprawdę mnie irytują.

Zamknął oczy, a ja drugi raz nim potrząsnąłem.

- Jeszcze pan tu jest? Czego pan chce? - z wyraźną niechęcią pozbył się jednej ze słuchawek.

- Ja... - nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć - byłem po prostu ciekawy... Nie zauważył pan, co się stało? Autobus zmienił trasę, wszyscy panikują, a pan jak gdyby nigdy nie siedzi tu i słucha muzyki. Jest panu obojętne, dokąd pan jedzie?

- Oczywiście, że nie - odparł spokojnie - ale cokolwiek zrobię, i tak nie mam na to wpływu. Ani ja, ani nikt inny znajdujący się w tym autobusie. Jedyne, co jestem w stanie uczynić, to zaakceptować obecny stan rzeczy i zachowywać się tak, jakby nic się nie zmieniło.

- To prawda - zawtórowała mu córeczka - dopóki autobus nie stanie, nikt nie dowie się, dokąd jedzie, a gdy już stanie, niewiedza zniknie - uśmiechnęła się szeroko i wróciła do zabawy telefonem.

- Masz rację, skarbie - pasażer z dumą oparł dłoń na ramieniu dziecka - ale nie przesadzaj z tą radością. Pamiętaj, że emocje są zgubne.

Dziewczynka posłusznie przybrała neutralny wyraz twarzy, a jej ojciec umieścił w uchu słuchawkę, tym samym powracając do stanu totalnego odcięcia od rzeczywistości.

Zdawszy sobie sprawę, że konwersacja jest nieodwołalnie skończona, zawróciłem. Wcale nie miałem ochoty znaleźć się w epicentrum tornada siejącego spustoszenie między drzwiami wejściowymi i okiennymi szybami, w połowie drogi skręciłem więc i opadłem na krzesło. Harmider ani nie ustawał, ani nie słabł - kłótnia osiągnęła punkt szczytowy, a słowa, najwyraźniej już niewystarczające, zostały zastąpione przez rękoczyny. W pewnym momencie dziwnie ubrany staruszek wyrwał kobiecie komputer i z furią uderzył nim o podłogę, ona zaś z dzikim wrzaskiem rzuciła się na współpasażera, okładając go na zmianę pięściami i wulgarnymi wyzwiskami.

I chyba właśnie wtedy uświadomiłem sobie, że coś się zmieniło. Autobus jechał jakoś inaczej - przestał podskakiwać i kołysać się na wszystkie strony. Droga! Z koślawej, poznaczonej dziurami i wybojami, stała się równa i prosta - typowo miejska. Wyjrzałem na zewnątrz. Choć śnieg topniejący na szkle zacierał kontury świata zewnętrznego, nie miałem wątpliwości - wróciliśmy do miasta.

Pozostali podróżnicy też to zauważyli. Z twarzami przylepionymi do szyb wpatrywali się w mijane budynki, częściowo otulone płaszczem mroku nocy, częściowo wydobyte spod niego przez miękkie blask światła ulicznych. Głowy latarni zamieniały się w złociste strugi jasności, gdy pojazd sunął ulicami z cichym warkotem silnika. Skręcił w jakąś podrzędną alejkę i zatrzymał się na przystanku, bezpiecznie przybijając do krawężnika, a dziewięć głosów wypowiedziało na raz te same słowa:

- To mój dom!

Pasażerowie ze zdumieniem patrzyli to na siebie, to na wysoką, wielopiętrową kamienicę, która wynurzyła się przed nimi z czarnej toni. Niczym latarnia morska, dająca znak zbłąkanym marynarzom w wietrzną, sztormową noc, witała nas radosnym mruganiem ciepłego, pomarańczowego światła. Drzwi autobusu stanęły otworem, a do mnie dotarło, że i ja wróciłem do domu.

- Najwyraźniej wszyscy mieszkamy w tym samym budynku.

Moi towarzysze wychodzili - niektórzy z uśmiechem na ustach, inni wyraźnie źli, że podróż trwała tak długo, jeszcze inni niepewnie, z nieufnością malującą się na twarzach. W końcu autobus opustoszał i zostałem w nim prawie sam. Stałem na środku, patrząc na lawinę puszystego śniegu powoli spływającą z góry na ziemię.

Zawiasy za mną skrzypnęły, rozległy się kroki. Obok mnie zatrzymał się kierowca. Przez jakiś czas razem podziwialiśmy padający śnieg. Wreszcie obróciłem się do niego, by zadać od dawna nurtujące mnie pytanie:

- Dlaczego autobus skręcił? Dlaczego nie pojechał zgodnie z rozkładem?

Kierowca również odwrócił wzrok od drzwi. Z uśmiechem na ustach rzekł:

- Powiedz, mój drogi... Czy w czasie podróży wyglądałeś przez okna?

Przez chwilę zastanawiałem się nad odpowiedzią. W końcu pokręciłem głową.

- Szkoda... Naprawdę wielka szkoda. Widoki były niesamowite.

Zamilkł, a ja zbliżyłem się do wyjścia. Czekala mnie ostatnia droga. Biała kurtyna niemal całkowicie zakryła już nocne niebo, ja jednak wiedziałem, że za nią czeka na mnie dom - wydawało mi się nawet, że między płatkami śniegu widzę pomarańczowe światło, wesoło mrugające na powitanie. Wszedłem na zewnątrz i ruszyłem w jego stronę, a kierowca szedł tuż obok mnie.

KONIEC